Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Poniedziałek 15 Stycznia Ner 26. 1838 Roku.

WSPOMNIENIA Z WĘDRÓWKI PRZEZ GÓRY OLBRZYMIE (*Riesengebirge*) W ROKU 1837.

I. ADERSBACH.

Fryderyk Wielki zwykł mawiać: »Kto nie widział skał Adersbachskich, kaplicy w Sedlic, i grobów książęcych w Grüsau, ten nie wié co jest natura, sztuka i przepych.« A John Quincy Adams, poseł pełnomocny Zjednoczonych Stanów Ameryki północnéj, w listach o Szląsku, o skałach Adersbachskich tak się wyraża: »Adersbach, miéjsce, podziwienia godnémi skałami wsławione, które przestrzeń trzech mil zabiérają w tak czarodziéjskich kształtach, iż nic podobnego w licznych moich podróżach widzieć mi się nie wydarzyło.« W saméj istocie, w podobnych utworach natura tylko raz w Torkal, w Hiszpanii powtórzyła się. Wędrując przez góry olbrzymie Szląska pruskiego, przejechałem granicę Szląsk od Czech dzielącą, aby to sławne odwiédzić miéjsce. Byłto piękny poranek miesiąca lipca, gdyśmy schludną, półtoréj mili od Adersbach odległą wioskę Weckersdorf opuścili. Niebo błękitne, lub czarnémi chmurami osłonione, światło wschodzącego lub zachodzęcego słońca, gwiazd lub księżyca, czas ponury lub pogodny, i tysiączne inne odcienia natury, mistyczny wpływ na nasze uczucia, myśli, a nawet zmysły wywiérają. Obraz czarodziéjskiéj okolicy nie oko duszy, ale dusza oku podaje, ona go ożywia, wykształca, uszlachetnia. Trzebaby się starać schwycić chwilkę, w któréjby obraz rozwijający się przed oczyma naszémi w prawdziwém i korzystném świetle się okazał. Rozwaliny zamku gotyckiego potrzebują nocy ciemnéj, bladego światła księżyca,

burzy, która zżółkłe liście zmiata; willa zaś włoska potrzebuje słońca, błękitu nieba południowego, kwiatów, zefirów, wodotrysków, poezyi natury, sztuki i poezyi serca... Wspaniałe lasy jodłowe ocieniały po obu stronach drogę, która się po nad brzegiem strumyka, jakby wąż wykręcała. Wschodzące słońce przebijało się przez gęste gałęzie, na których rzadko gdzie jaka mała ptaszyna modlitwę poranną świérgotała. W milczeniu jechaliśmy tą czarującą okolicą, gdy niespodzianie na skręcie drogi ujrzeliśmy olbrzymie skały Adersbachskie, jako rozciągłe miasto na pięknéj płaszczyźnie rozłożone. Zajechaliśmy do oberży bardzo eleganckiéj: » Kamiéni Adersbachskich. « Kilka już powozów stało na obszérnym, obmurowanym dziedzińcu, a w sali zastaliśmy liczne grono podróżnych z poblizkich i odległych okolic, równie jak i my, dla oglądania tych skał przybyłych. Nim nam dano śniadanie, stanąłem w oknie w milczącém zachwyceniu, przypatrując się tym zakamiéniałym olbrzymom. Wpatrując się długo w te fantastyczne kształty i figury, jakieś niezrozumiałe, ciemne uczucie, duszę przeraża; te skały zdają się zostawać pod zaklęciem jakiegoś złego ducha, który je szyderczym i tajemniczym napiętnował wyrazem. Jak dłuto rzeźbiarza ogién i życie z zimnego, martwego wydobywa marmuru, tak i tu dłuto natury olbrzymie wykuło posągi, a duchy gór olbrzymich, na ich czele Rübezahl, tu siedzibę założyli, których przygody, poetyczne sagi, w pamięci miészkańców się przechowują. Ciemne ulice różnostronnie przerzynają to miasto zaczarowane; nie oko poety, ale oko zwyczajnego dostrzegacza rozezna wyraźnie odznaczone place, posągi, słupy, sklepienia, błędniki, wieże, łuki, mosty, kościoły, zamki téj stolicy Rübezahla, pana gór olbrzymich, a dziś jeszcze zakamiéniałe ludzkie postacie groźno i szyderczo na nas spoglądają! Zadna burza ich nie wzruszy, grom o twarde ich czoła się rozbija, a u stóp ich zielony ściele się trawnik, na którym motylki i Nimfy wodne igrają. Ptak stroni ten las cedrów zakamiéniałych, człowiek tylko w zuchwałą zbrojny odwagę, im groźniéj mu się

natura objawia, tym groźniéj i śmieléj wdziéra się w najskrytsze jéj tajniki, mocą ducha chce ją zgłębić, zrozumiéć i ujarzmić. Głos gospodarza przywołał mię do sali, gdzie już wszystkich zastałém przy śniadaniu, około stolika siedzących. W przyjemnych rozmowach chwilka po chwilce mijała, a spoźnienie się przewodnika podało mi czas przeleciéć książkę, gdzie podróżni imię i chwilowe uczucia w pamiątkę wpisują. Z niewymowną radością znalazłem tu wpisane imiona kilku drogich mi osób, z którémi w licznych wędrówkach, niestety często na kilka tylko chwilek, się poznałem; znalazłem i twoje imię Ch*, a duszę twą poznałem z ognistych wyrazów, którémi opisałeś te skały. Ah! dla ciebie jest świat zimną skałą, a jego echo jest uśmiéchem szyderczym! Przewodnik nadszedł. Idąc miękkim trawnikiem, który rzędami sadzone topole różnostronnie przecinają, stanęliśmy przy piérwszych skałach, tak zwanych *kamiénie karłów*. Odcięte od innych skał, stoją te dwa posągi, 20 sążni wysokie, jako stróże miasta zaczarowanego. Kamiéń przestaje być martwym kolosem dla wędrownika, który z duszą, upojoną poezyjném marzeniem, tu wstępuje! Piosnka gminna opiéwa przygody familii karłów, która niegdyś szczeliny tych skał zamiészkawszy, różne psoty podróżnym i okolicznym miészkańcom wyrabiała. O kilka kroków daléj prostopadła ściana kamiénna, *parawanem* przezwana, zieloną murawę osłania. Tu się przedmieście miasta kamiénnego zaczyna. Tysiączne obeliski, jakby cedry zakamiéniałe, cisną się jeden na drugiego, jedne tak blizko siebie, iż ciężko się przez nie przecisnąć, drugie wolny i széroki zostawiają przechód. Skały w kształtach odmienne, zadziwiające, patrzą z pogardą na ciekawych i zuchwałych Pigméjczyków, którzy jak muszki u stóp ich brzęczą! Tu usiadłszy trochę dla odpoczynku, jedni z towarzystwa, wyjąwszy ołówek, chcieli na kartce papiéru choć słabą odcień téj gigantycznéj schwycić natury, drudzy wyrazy zachwytu, które pomimowolnie z ich piersi się wydziérały, słowami uwięzić usiłowali, ci jeologiczne postrzeżenia nad początkiem i formacyą

tych skał podawali sobie. Najliczniéjsza atoli część towarzystwa, do któréj i ja się przyłączyłem, zebrała się w około przewodnika, przysłuchując się ciekawym opowiadaniom jego o dawnych rycérzach, którzy przeciw prześladowaniom, zdradzie i przemocy, w tych skałach schronienia szukali i znaleźli; o Polaku Niesławie, sławnym rozbójniku za czasów Bolesława III. którego pamięć do dziś dnia utrzymuje się w podaniach ludu, jakoteż o innych sławnych rozbójnikach czeskich i szląskich. Idąc daléj zachwycające zjawisko przyrody nas zatrzymało; zjawisko to bezpiecznie do najciekawszych utworów natury policzyć można. Jestto skała, *głową cukru* nazwana, ośmnaście sążni wysoka, u dołu półtora, a u góry pięć sążni w przecięciu mająca, jakby zakaminiały promień wody, wytryska z małego jeziorka, którego ciemną powiérzchnię wodne rośliny pokrywają. Jestto kamiénna poezya; zuchwała myśl natury! Obeliski coraz gęstsze, têm w dziwniéjszych okazują się kształtach, im bardziéj ku właściwemu zbliżamy się miastu. Tu *organy* czekają na uderzenie niewidzialnéj ręki, aby czarodziéjskiémi głosami przerwać ciszę tych skał. *Komin* Rübezahla kuchni wysoko wzbija się w powietrze, ale dym z niego nie bucha; zapewne pana w domu niéma. Ta urna zapewne drogie popioły zamyka. Zwróć oko na prawo, a okropny widok duszę przeraża: rusztowanie, szubienica, głowa ścięta! obok *mumii egipskiéj*, *rękawica* rycérska, czeka na kościstą rękę olbrzyma. Bajka i prawda, przeszłość, odległość, nie w rozwiązłych opisaniach, ale w treściwych odciskach natury, dla duszy tylko poezyą upojonéj zrozumiałych, objawia się nam. Lecz czas nie dozwala pojedyńczych skréślać obrazów na téj nieruchoméj wielkiéj wystawie natury, zadziwiających i zachwycających nas. Jeszcześmy do miasta nie weszli. Lecz nim w zaczarowane jego wstąpimy progi, wypada powitać *pana burmistrza*, który z sutą *allonge* peruką, wypukłe ociéniającą czoło, czeka na nas przy wchodzie do powierzonego mu przez Rübezahla miasta. Może on też i nie na nas czeka, bo oko w przeciwną zwrócił stronę, gdzie zakwefiona mniszka

o kamiénny słup się opiéra. Małe drzwiczki drewniane zamykają wchód do miasta zaczarowanego. Jestto wchód dla karłów, w miasto olbrzymów. Tylko dłuto Dantego, które owe sławne: *Per me si entra* i t. d. wykuło nad bramami piekła, i tu odpowiedni wypadałoby wyryć napis! Zimne powietrze owionęło nas, niebotyczne ściany zasłaniały nam horyzont, a słabe światło dniowe, przebijało się ich szczelinami. To powietrze, ta w półciemność, ta cisza grobowa tylko szmerem krętego strumyka przerwana, gdyż tupot naszych kroków w miękkim gubił się piasku, dziwne uczucia w nas wzbudzały. W milczeniu szliśmy ulicą Jezuicką, a przewodnik robił nas uważnymi na dziwne skał utwory, których nazwy wyliczał. Obok *tablic Mojżeszowych*, stały pogańskie posągi, gruzy zamku rozwalonego, na których szczycie jodła, jakby czarny sztandar, powiéwała. Obok *olbrzymiego grzybu* stérczał *ząb* Rübezahla, który sobie wybił o wieżę kościoła świętéj Elżbiéty, w oddaleniu widzialnego. Przez wielki rynek, po pod most djabelski, weszliśmy na długą ulicę. *S. Jan w puszczy*, misterne dzieło największego mistrza natury, zadziwia i zachwyca wszystkich znawców sztuki. Bryła kamiénna, rzucona w pośrodku drogi, zdawała się nam wzbraniać dalszego pochodu. Z wykutego na niéj napisu tylko te słowa wyczytać można było: *J'ai bravé---sacrilege*. Podróżujący Anglik, chcąc się przypatrzyć i przysłuchać grzmotom i gromom w całéj strasznéj okazałości, zjechał w tym celu do Adersbach. Długi w oberży czas przesiedział; niebo ciągle pogodne zdawało się opiérać jego zuchwałym zamysłom. Przyszedł nakoniec dzién pożądany, Anglik nié mogąc znaleźć przewodnika sam udaje się w pośrodek śmiercią grożących skał. Grzmoty się wzmagają, a z niémi i rozkosz odważnego i zuchwałego Anglika, lecz w tém, skały okropném zawyły echem, a piorun wali bryłę skalistą do nóg jego. Anglik wylatuje przestraszony; każe czém prędzéj, pomimo burzy, zaprzęgać konie pocztowe, i zleciwszy podany napis, dla przestrogi równie jemu ciekawo-zuchwałych, na téjże skale wykuć, w dalszą puścił się

drogę. Na małym rynku, przeznaczonym dla odpoczynku podróżnych, gdzie srébrne źródło, bujnémi ocienione roślinami, z twardego wytryskuje kamiénia, znużeni usiedliśmy na ławkach. W miłych i wesołych rozmowach, straciwszy kilka chwilek i napiwszy się z zimnego źródła, szliśmy daléj, gdzie u kresu naszéj wędrówki najspanialszy zachwycił nas widok. W ciemnéj grocie, do któréj promiéń słoneczny jakby otwartą tylko wkradał się kopułą, wodospad po tysiącznych łamiący się kamiéniach z hukiem i grzmotem pienił się u stóp naszych. Pyłek kropli, jakby rozpryśnięte gwiazdeczki brylantowe, całą grotę wypełniał. Tu był koniec naszéj cztéro-godzinnéj wędrówki. Wyszedłszy tą samą drogą, poprowadził nas przewodnik do glorietki, o kilkaset kroków od skał oddalonéj. Tu jeden z towarzyszów naszych, wziąwszy flet, melodyjne wywabiał z niego tony. Zamilkł, a w kilka sekund, jakby w coraz dalszém oddaleniu, echo tęskne skał trzy razy całą melodyę, jak najdokładniéj i najwyraźniéj powtórzyło. Na kilka wystrzałów skały groźno odpowiedziały, a wesołe tony pocztylionki, gubiąc się w skał błędniku, do dalszéj podróży nas zachęcały. Miłe z sobą biorąc wspomnienie opuściliśmy to miéjsce i udaliśmy się w dalszą podróż do Landshutu.

PIEŚŃ.

Czci godny Panie, któryż śmiertelny,
Kiedy nadéjdzie czas zgonu,
Z postępków swoich nieskażytelny,
Do tego zbliży się tronu,
Gdzie Twój majestat tak okazale
Odwiecznėm światłem jaśnieje.
Zkąd Twoja Boska dobroć wspaniale
Człowieka spełnia nadzieje?
Jak Twe niezmiénne uczą wyroki,
To szczęście temuś przeznaczył,
Kto wszystkie życia swojego kroki
Sprawiedliwością oznaczył.
Kto nad znikomą szczęśliwość trwałą,
Nad wielkość przeniósł stan mierny,
Z namiętnościami kto walczył śmiało,
Słowu swojemu był wierny.
Kto się występkiem nigdy nie splamił.
Nie szarpał sławy bliźniego,
Próżnością duszy swojéj nie mamił,
Ile mógł robił dobrego.
Kto czyniąc z sercem, z prawdą stósownie
Dla względów, ani dla zysku,
Nie przyłożył się z przemocą zmównie,
Do niewinności ucisku.
Ten słowem spocznie w Twéj świętéj chwale.
Kto cnotę wiernie szanował,
I pognębioną, zawsze wspaniale
W nieszczęściu dźwigał, ratował.

MATKA.

Powszechnie wystawują nam kobiétę jako istotę płochą, lekką, z romansu w romans lecącą i dla próżności wszystko poświęcić gotową. Jestto gorzka pociecha niewzajemnego kochania, głos obrażonéj dumy, może nawet zemsta za to, iż ona otrzymała w dziale najślachetniéjsze bóstwa przymioty. Mężczyźni dostaliśmy siłę, męztwo, odwagę, wytrwałość, rozum w końcu, kiedy już tak koniecznie chcecie: niewiasty wzięły litość, dobroć, piękność; nie dość na tém wzięły miłość macierzyńską. Ktokolwiek dręczony dowcipem obiéra płeć słabą za cel swéj zjadliwości, niech wspomni, że miał matkę, a pewno ręka mu zadrży kréśląc wyrok potępienia na płeć, do której ona należała. Nigdy, dziś nawet kiedy egoizm wszystko zaraził, nigdy kobiéta nie stara się pomnożyć dobro swoje z krzywdą własnego potomstwa. Jak skoro matką zostaje, świat dla niéj powab swój traci, wszystko w oczach jéj znika na widok niemowlęcia, miłość nawet własna ustępuje przywiązaniu do dziecka....

Lecz próżno poświęcenie się to usiłuje odmalować pióro mężczyzny. Zimne jego serce rozumowi ulega, i on tam dowodzi gdzie czuć potrzeba. Tkliwy Russo ogniem pisał, namiętności z mocą na papiér wyléwał; a jednak kiedy chciał matkę malować, jakże się zimnym, jak niskim okazał! Kobiéty! wy tylko same znać, wy tylko opisać możecie to uczucie, które każe wam żyć dziécięcia życiem i dla jego szczęścia własne poświęcać.

Prawa nasze oddają winny hołd macierzyńskiéj miłości. Usuwa Statut białogłowy od wszelkiéj nad nieletniémi opieki: a z tém wszystkiém, *jeżliby mąż opiekę dzieci i imion żonie swéj zapisał, tedy ona według testamentu i opisu męża swego będzie tą opieką władać na wszystkiém się słusznie i przystojnie rządząc* (1).

Wszakże wówczas kiedy sprawiedliwość wyciskała na prawodawcy ten artykuł, nieufność i uprzedzenie przeciwko płci pięknéj kładły tam warunek: że Stryjowie i dalsi krewni po mieczu patrzéć mają by matka funduszu dzieci swych nie trwo-

(1) St. R. V. art. 11.

niła. Późniéj jeszcze bez względu na to, iż prawa uwalniają rodziców od czynienia liczby przed dziećmi, pociągnięto ją do zdawania corocznych rachunków, a nawet strącając do rzędu płatnych opiekunów matce za jéj fatygę dziesiąty grosz przeznaczono (2).

Dzisiaj prawa te żadnéj mocy nié mają: bo dziś kto inny rządzi majątkiem nieletnich; matka tylko troszczy się o ich szczęście i wychowanie (3).

Pod jéj dozorem wzrasta dziewica, główny cel wzdychań i zabiegów naszych, ucząc się z jéj przykładu jak być czułą na nędzę, tkliwą na ciérpienia, uprzéjmą dla wszystkich, wierną dla jednego. W wiośnie życia zdziwiona, że jéj serce po raz piérwszy gwałtowniéj i to dla mężczyzny bije, z niewinną bojaźnią tuli się na matki łono, znajduje tam pobłażanie i radę: naostatek z jéj uścisków przechodzi w objęcia czystéj miłości, a błogosławiéństwo matczynne staje się rękojmią przyszłych w małżeństwie słodyczy (4).

(2) Rezol. Rady Nieustającéj datt. 1 Siérpnia 1777 roku w Cz. II. f. 221.

(3) Matka widząc, że opiekunowie dążą na krzywdę nieletnich ma prawo wéjść o to do szlacheckiéj opieki z żaleniem. —

(4) St. R. V. art. 11. *Ale dziéwek tych bez rady opiekunów w stan małżeński zmawiać i oddawać niéma.* —

MYŚLI MORALNE.

Nie zasadzaj twéj sławy w dostatkach i wielkości, bo te nie od ciebie, ale od ślepego losu zależą.

Lepsze jest przy sprawiedliwości ubóztwo, jak źle nabyte dostatki.

Wszystkie cnoty zamykają się w sprawiedliwości; jeżeliś sprawiedliwy, jesteś uczciwym człowiekiem.

Strzeż się w momencie twojego gniéwu, niedostatek ciérpiącemu, wyrzucać ubóztwo, które go wstydzi. Bóg na szali Opatrzności swojéj wszystko waży wedle swego upodobania; częstokroć tego nagim zostawia, kogo niedawno dostatkami obsypał.

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.